

25.









Lwów 18. Lipca 1886.

Tygodnik beletrystyczny.

Wychodzi co niedzię

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie zhr. 7-40 — półrocznie zhr. 3-70 — kwartalnie zhr. 1-85. Z przesyłką pocztową rocznie 8 zhr. — półrocznie 4 zhr. — kwartalnie 2 zhr. Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:

Lwów, ulica Jagiellońska l. 16. (Kantor „Drukarni Polskiej“).

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 6 ct. od wiersza petitowego.

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

## ŁAMIGŁÓWKA.

al — berg — bert — cen — cho — cja — da — do — dūr —  
dy — dy — ed — el — go — hal — i — in — kał — ki —  
ko — ków — la — las — ła — nem — niez — o — o — pa —  
phi — pro — ra — ren — ro — rod — schu — staw —  
ta — tą — tę — tro — tu — ul — wie — vis — wa — wal —  
wał — ward — wil — wo — za — za — za — źbie.

1. Tam prowadzili bożkowie Thor i Freja;
2. Tam szukaj miejsca urodzenia Odysseja;
3. Myśliwy sławny — ale Hama plemię;
4. Z taką rozpocznij tańczenie;
5. Zawsze go traci ten, co nie odda długu;
6. To góra solna w hrabstwie Salcburgu;
7. Tego w zdaniach nigdy nie przegadasz;
8. Asturji miastu taką nazwę nadasz;
9. Baśni tych nie gadaj — boją się ich dzieci;
10. Tę — dla Marji Stuart zazdrość, zemstę nieci;
11. Prezes Południowców — chciał Lincolna zgładzić;
12. Choroba ta — może czasem śmierć sprowadzić;
13. Ten barwnik w Bengalu zawsze jest najlepszy;
14. Ten znów Mickiewicza przyjaciel najszczerzy;
15. Poeta — Prymas — maści na króla Mikołaja cara;
16. Rządów Napoleona utrata tej — kara;
17. Pilnuj go — dla całości kapitału to jedyna rada;
18. Biskup — który dla Gotów Ewangelie przekłada;
19. Choć Niemiec — przesłiczne są jego polonezy;
20. Miasto na Szlązku — tam gdzie Opawa bieży.

## SZARADA.

Pierwsze i trzecie  
To biegną w świecie  
Odwiecznie wskazaną drogą;  
Drugie i trzecie  
Niby to śmiecie,  
Lecz biednym przydać się mogą.  
Wszystkie stworzenia  
Co pośród cienia  
Na wątłej tylko gałęzi  
Pędzą swój żywot  
Bez trosk cierpienia,  
Nim je złość ludzka uwięzi.

Rozwiązanie łamigłówki z nrn. 24.

Loiseau — Erek — prosię — Sizimitres — zatoka —  
Yutakan — Władysław — Reszke — Orfeusz — Bojar —  
epigramat — Labiche — Wieniawski — Ravailac —  
ebaż (żabę) — Kochanowski — Urban.

Lepszy wróbel w rękę  
Niż cietrzew na sęku.

Dobre rozwiązanie nadesłali Wni: A. Woroniecka z Sambora, Stanisława Sławiczek z Przemyśla, Marja Nowosielecka z Nowosielec.

Wynik losowania: Najpierwsze wylosowane zostało rozwiązanie: Stanisławy Sławiczek z Przemyśla, pod jej też adresem premia wysłaną została.

☞ Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczają się dla prenumerato-  
rów „Kwiatów powieściowych“, „Pan Graba“, powieść Elizy Orzeszkowej.  
Premję tę otrzyma pierwsze wylosowane rozwiązanie. ☞









Lwów 18. Lipca 1886.

Tygodnik beletrystyczny. Wychodzi co niedziele.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7.40 — półrocznie złr. 3.70 — kwartalnie złr. 1.85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:  
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.  
(Kantor „Drukarni Polskiej“).

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

## CYWILIZATOR

## POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

## XIII.

(C. d.) Po długiej i ciężkiej chorobie pan Onufry dzisiaj pierwszy raz podniósł się z łóżka. Stało się to za pozwoleniem doktora Kielskiego, który przybył przed godziną i sam się zajął usadowieniem chorego w wielkim krześle poręczowym. Rekonwalescent obłożony poduszkami, ubrany w turecki szlafrok bardzo mizernie wyglądał; z dawnego Bzowskiego pełnego życia, temperamentu, tuszy i siły, pozostał szkielet człowieka; twarz wychudła, poźółkła, oczy w dół zapadły, włos przerzedział i posiwiał, głos donośny osłabł, stał się powolny, bojaźliwy jakiś...

Gdy doktor kończył go sadowić, Bzowski wyciągnął do niego chudą, wybielałą rękę a uśmiechając się słabo powiedział:

— Dziękuję ci konsyliarzu, już mi bardzo wygodnie... Czym ja kiedy pomyślał, że mnie jeszcze na starość będą zawijali w powijaki. Ot los garbaty.

— Teraz już galopem będziemy do sił przychodzić — rzekł doktor siadając naprzeciw pacjenta — i mam nadzieję, że pan jeszcze w nadchodzącym karnawale będzie na jaki bal towarzyszył pannie Marji..

— Facecje mój dobrodzieju!... Do karnawału ledwie dwa tygodnie...

— Cóż z tego. Do dwóch tygodni będziesz pan zdrów zupełnie! Nogi wypoczęły blisko trzy miesiące, czas dać im trochę swobody...

— Mnie myśleć o karnawale! Ledwie się kostusi wykręcił... Gdyby nie ty konsyliarzu, jużbym był nogi zadarł...

— Teraz ja panu powiem: facecje!.. Umrzeć nie tak łatwo jak się komu zdaje... Organizm zdrowy i silny, nie wyniszczony nadużyciami, wytrzymałby jeszcze gorszą próbę jak ta, którą pan przeżyłeś.

Obecnie trzeba się tylko dobrze odżywiać; popijać po trosze stare winko i niczem się nie kłopotać...

— Pewnie, pewnie konsyliarzu... Nie kłopotać się! Dobry z pana mentor..

— Radzę jak umiem, bo kiep ten co więcej robi jak może... Nieznam interesów pana i niewiem czy się pan masz czym kłopotać czy nie, ale to co widzę tutaj, wcale mi kłopotliwie nie wygląda. Panna Marja świeża jak róża, uśmiechnięta jak poranek wiosenny, czynna jak mrówka, gosposia że radość popatrzyć...

— Zapracuje się biedactwo moje... Nie mam pojęcia jak ona sobie daje radę. Zachorowałem właśnie w chwili, gdy jej najwięcej było potrzeba opieki...

— Jakoś dała sobie panna Marja radę ze wszystkim i wszystkimi... Wczoraj byłem wzywany do jedynaka pani senatorowej i tam nasłuchałem się tyle pochwał dla córki pana, z ust senatorowej, że połowa z nich jużby z panny Marji potrafiła uczynić ideał kobiety...

— O interesach nie chciała dotąd ze mną mówić, choć ją prosiłem.

— Bardzo rozsądnie postąpiła — rzekł doktor.

— Zbývá mnie zawsze: wszystko idzie wybor- nie ojcaszku...

— Bo tak jest w istocie...

— Zkąd pan możesz wiedzieć o tem?

— Bo widzę!... Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Zresztą jeżeli pan koniecznie chcesz wiedzieć jak idzie gospodarstwo i interesa, to możesz pan o tem dowiedzieć się od samej córki, bo dziś można już z panem mówić o wszystkim bez obawy aby się stan zdrowia pogorszył. Nowin złych pan nie usłyszy a dobre pomogą do przedszego ożywienia sił ducho-



wych i fizycznych. Na taką rozmowę daję moje zezwolenie i oznajmię o niem panie Marji.

— Dozgonnie będę obowiązany, bo mnie wszelka niepewność maltretuje.

Doktor powstał i podał rękę Bzowskiemu.

— Już uciekasz konsyljarzu?

— Alboż nie czas?

— Tak się przyzwyczaiłem do pana, tak go pokochałem, że prawie żałuję wyzdrowienia, które mnie pozbawi jego obecności. Niezapominaj o mnie konsyljarzu i przyjeżdżaj tu jak ci zajęcia pozwolą.

— Bez pytania i proszenia przyjadę choćby dlatego aby się z panem sprzeczać trochę...

— Dobrze konsyljarzu, choćby codziennie. Ja nigdy nie przestanę być wdzięcznym temu, który cię pierwszy do mnie wezwał...

— Podziękuj pan więc panu Bodmerowi, bo on to na pierwszą wieść o chorobie pana, na gwałt mnie tutaj wyprawił...

— Bodmer?

— Tak jest, on. Niema dnia aby się o zdrowie pana niedowiadwał...

— Hm! to szczególne — mruknął Bzowski.

— Nie ma nic szczególnego, bo Bodmer ma złote serce i każde nieszczęście potrafi odczuć żywo.

— Nie znam go..

— Szkoda, bo warto — zapewniał doktor. — Jestto jeden z tych ludzi, którzy są zaszczytem i chwałą kraju. — Byłby się dłużej może rozwodził nad przymiotami Bodmera, gdyby nie wejście proboszcza, którego do pokoju wprowadziła Marja.

— Niechaj będzie pochwalony... — przemówił proboszcz.

Na wieki — odpowiedział Bzowski — wyciągając rękę na powitanie. — Przypomnił sobie jegomość o mnie przecie.

— Ksiądz proboszcz dowiadywał się codziennie o twoje zdrowie ojcaszku, ale z nakazu pana doktora, nikogo do ciebie wprowadzać nie mogłam.

— Widzi więc kolator dobrodzieju — rzekł proboszcz — że nie ja tutaj winien, ale ten oto heretyk — wskazał na lekarza.

— Któremu zawdzięczam ratunek... Gdyby nie zacny doktor jużby mnie nie było między wami..

— Żegnam państwa — sklonił się doktor na około. — Bądźcie łaskawi chwalić mnie za oczy nie w oczy, bo to trochę kłopotliwe dla mnie. Jak już pierwiej powiedziałem — dodał zwracając się ku Marji — może pani obecnie rozmawiać z ojcem o sprawach jakichkolwiek. Do miłego widzenia! Podał każdemu z obecnych rękę.

— Spodziewam się konsyljarza jutro — rzekł Bzowski.

— Niech będzie jutro! Notabene jeśli zajęcia pozwolą. — Z temi słowami na ustach pokój opuścił.

Proboszcz usiadł naprzeciw Bzowskiemu, Marja wzięła robotkę i usiadła obok ojca, który na nią patrzył z zajęciem i radośnem zadziwieniem. Od czasu przebycia kryzys zauważył, że córka dziwnie jakos wyladniała, jeśli u tak pięknej osoby mogła być w ogóle mowa o wyladnieniu. Jemu się zdawało, że kłopoty wśród których zostawił Marję, powinny ją były przygnieść, uczynić smutną, a tymczasem na twarzy jej widniał uśmiech wesela, w oczach spokój i słodycz jakie daje zadowolenie duszy.

— Rzecz szczególna mój kolatorze — zagaił rozmowę proboszcz — że taki heretyk i ateusz, jak ten

doktor, ma tyle serca. Z jaką on to troskliwością chodził koło kolatora dobrodzieja, podziwialiśmy.

— Najserdeczniejszy chłopak pod słońcem mój księżę... Kielscy, to dobre gniazdo; pochodzą z piotrkowskiego, a pieczętują się Ślepowronem...

— On by i bez Ślepowrona był porządnym człowiekiem i dobrym lekarzem — zauważył proboszcz. — Sam do tego szlachectwa nie wiele wagi przywiązuje. Ma rozum — ta zapleśniała starzyzna nie na dzisiejsze czasy..

— Już znowu zaczynasz księżę swoje? — burknął Bzowski. — Aby na przekór, aby mi dokuczyć!

— Broń mnie Boże! — zapewnił proboszcz — gdzieżbym ja chciał irytować kolatora dobrodzieja... Język mnie zaświerzbiał i szczechnąłem sobie..

— Jakże tam na dworze Maryjko? — zapytał Bzowski.

— Dzień mroźny ale bardzo pogodny... Termometr pokazuje 13 stopni zimna.

— Jakże tam koło gospodarstwa? Omłoty skończone?

— Już dawno, ojcaszku.

— I dajesz sobie radę z Byczykowskim? Czy cię choć słucha?

— Oho! mój dobrodzieju — objaśnił proboszcz — po Byczykowskim już miejsce dawno zastygło..

— Jakto? Oddalił się?

— Sama go odprawiłam ojcaszku, przekonawszy się, że leniwy, ograniczony i lubi się cudzem dzielić. Już od pierwszego października mam innego ekonomę...

— A jakiego jeszcze! — wtrącił ksiądz. — Jak Bzów Bzowem takiego tutaj nie było. Powiadam kolatorowi dobrodzieju, że od świtu do nocy wszędzie go pełno; wszędzie zajrzy, wszystkiego dopilnuje. To też aż miło na gospodarstwo popatrzeć. Bydelko jak pieścidełka... Czeladź trzyma w rygorze aż radość. Krząta się koło pańskiego dobra jakby koło własnego. A do tego wszystkiego bardzo skromny i dobrze ułożony...

— Zkądżeś takie cudo wyrwała moja Maryjko?

— Był przedtem zarządcą folwarku w Grzmotach.

— Zmiłuj się dziecko, gdzie ty będziesz w stanie trzymać tak drogiego oficjalistę? Zje cię..

— Bynajmniej ojcaszku. Wprawdzie płacę go lepiej jak Byczykowskiego, ale i on też daje większą pracę jak tamten, po rezultatach zaś widzę że zyskuje. Zresztą jestto człowiek, który prócz agromonii zna dobrze ustawy administracyjne i z tego względu oddał mi już nieoszacowane usługi. Wyreca mnie w korespondencji z władzami, która w ostatnich czasach była dość częstą i obszerną.

— Cóż Bodmer, na to żeś mu wzięła oficjalistę?

— Pan Bodmer sam mi go ustąpił widząc moje kłopotliwe położenie po oddaleniu Byczykowskiego. Gdybyśmy pana Ługowskiego nie mogli z jakichkolwiek powodów utrzymać, pan Bodmer weźmie go nazad na dawnych warunkach.

— Już to trzeba przyznać kolatorze dobrodzieju — twierdził żywo ksiądz — że pan Bodmer, od czasu gdyśmy go bliżej poznali, pokazał się jako nadzwyczaj uczynny i zacny sąsiad... Czapkę przed nim zdjąć na kilkadziesiąt kroków.

— Uwzięliście się chwalić go. Doktor chwali, proboszcz chwali także, tylko Maryjka coś milczy. Cóż ty powiesz dziecko?



Proboszcz podniósł oczy ku Marji i obserwował ją bacznie.

— Ja ojezuku tylko potwierdzić mogę słowa księdza proboszcza. Zyskałam w panu Bodmerze nie tylko sąsiada ale prawdziwego przyjaciela. Miałam takich dwóch zacnych doradców...

— Któż drugi moje dziecko?

— Nasz poczciwy proboszcz... — Marja podała obie ręce księdzu, który był zażenowany pochwałą.

— Daj pokój moja Maryniu — obowiązek kapłana — prosty obowiązek nie więcej..

— Zawsześ był przyjacielem naszym poczciwy księże — tu Bzowski wyciągnął dłoń do uścisku — i żebyś był dawniej rad twoich słuchał, niebyłoby się stało nieszczęście...

— O czym tu mówić... — proboszcz machnął ręką.

— A jakże moje dziecko — rzekł po chwili milczenia Bzowski, nieśmiało, z jakąś obawą — stoi sprawa skryptów?..

Gdyby Bzowski, zadając to pytanie, spojrział był na obecnych w pokoju i zauważył znaczącą wymianę spojrzeń między księdzem a córką; gdyby był spostrzegł jak Marja splonęła a proboszcz niespokojnie się na krześle poruszył — byłby się domyślił, że między nimi kryje się tajemnica, której mu obecnie za żadną nie wyjawią cenę.

Ksiądz nie dał Marji wyprzedzić się w odpowiedzi.

— Co sobie kolator dobrodziej zaprzęta głowę skryptami! Jeszcze czego! Dopiero z łóżka wstał już o skryptach będzie mówił. Stało się, co się stać mogło!... Panna Marja ułożyła się z Bodmerem o spłatę ratami, zapłaciła mu pierwszych kilka tysięcy i spokój... On wie, że swoje dostanie, ma wyrozumienie, że od razu zapłacić niemożna tak znacznej sumy i koniec... Co tu sobie łamać głowę...

— Czy tak się stało Maryjko?..

Nim córka zdołała odpowiedzieć, proboszcz wstał z krzesła i z oburzeniem — prawdziwem czy udanem trudno było zbadać — zbliżył się do Bzowskiego...

— A to ładnie!... Więc ja już nie mam wiary u pana kolatora!... Trzeba aby ktoś potwierdzał moje słowa... zaręczał że nie kłamie. Doczekałem się po 30 latach znajomości! — Rozirytowany chodził po pokoju, a tak dobrze odgrywał rolę oburzonego, że pan domu zawstydził się swojej niewiary.

— Ależ księżuniu, ani mi w myśli było posądzać cię o kłamstwo. Cóż znowu!...

— To czemu kolator pyta się córki: czy tak się stało jak mówiłem?..

— Już się nie pytam... A to w gorącej wodzie kapany. O czymże z tobą księże mówić żebyś się nie irytował?..

— O czym? albo to mało pociesniejszych wiadomości do udzielenia?

— Tak, tak, ojczaszku. Zdziwisz się jak ja tu gospodarowałam...

— Powiedz dziecko lepiej: jak naprawiałam błędy ojca...

— Albo nie? — rzekł ksiądz stając na środku pokoju. — Co to owijać w bawełnę... Zostawiłeś ją kolator na wylocie z Bzowa a ona siedzi w nim dziś silniej jak kiedykolwiek i da Bóg, jeszcze ojca milionerem zrobi...

— Co też rozpowiadasz, proboszczuniu — śmiał się Bzowski.

— Najświętszą prawdę!... Znow mi nie wierzą... Już słowa nie pisnę... opowiadaj ojeu sama...

— Powiedz, dziecko powiedz... — prosił Bzowski, który teraz ożywił się co raz więcej.

— Przedewszystkiem musisz ojczaszku wiedzieć, że pan Bodmer znalazł na Pellarówce galman. Dowiedziawszy się o tem zastrzegłam sobie u władzy prawo górnicze na reszcie naszych gruntów w Bzowie, zamknęłam pana Bodmera ze wszystkich stron, i doprowadziłam do tego, że jestem współwłaścicielką Pellarówki i kopalń tam otwartych, w przyszłości zaś współwłaścicielką wielkiego zakładu hutniczego.

— I milionerką kolatorze dobrodziej, możesz być pewny... Co główka to główka... Możemy z niej być dumni... Postawiła Bzów na nogi... Wart teraz krocie...

— Nie! Mnie się chyba śni — szeptał Bzowski...

— Nie śni ci się ojczaszku — zapewniła Marja siadając przy nim — bynajmniej nie śni... Wszystko jest rzeczywistością...

— I Bodmer jest naszym spółnikiem?..

— Tak; najidealniejszym jakiego życzyć sobie mogliśmy. Gdybyś go chciał poznać ojczaszku, przekonałbyś się co to za rozsądny człowiek, jaki uprzejmy i uczynny sąsiad... jak on kocha kraj...

— Coś gorąco polecasz tego Bodmera — rzekł podejrzliwie Bzowski patrząc na córkę.

— Albo tego nie wart? — wtrącił się żywo do rozmowy ksiądz. — Suum cinque mój dobrodziejzu a Marja lubi każdemu oddać sprawiedliwość.

— Czy Antoni poznał go także?

— Stryjek wyjechał do Warszawy nim weszłam w układy z panem Bodmerem i nim on przestąpił nasze progi. Pozna go dopiero teraz, gdy przyjedzie na święta...

— Co? Antos przyjedzie na wigilię? A to cud jakiś!...

— I to zrobiła Maryjka mój kolatorze... Antoni dałby się za nią zabić...

— I ty księże także, jak mi się zdaje...

— Bez namysłu mój kolatorze dobrodziejzu. W ogień za nią skoczę.

— Widzisz dziewczyno — zaśmiał się Bzowski — wszyscy dla ciebie formalnie potracili głowy...

— O, za pozwoleniem mój kolatorze dobrodziejzu, nie tak znowu wszyscy — przerwał z dziwnym uśmiechem stary proboszcz — bo np. Bodmer nie uważa na jej piękną twarzyczkę i wcale głowy nie stracił.

Marja zwróciła pytający wzrok na księdza.

— Bajki opowiadasz, księżuniu... Chciałbym widzieć takiego zucha, któryby nie ukląkł przed moją Maryjką...

— No, a ja się założę, że on nie uklęknie — zapewniał gorąco proboszcz. — Co to gadać; to dumna sztuka... I może być dumniejszy jak potomkowie senatorów, bo za nim stoi całe życie uczciwej, chlubnej pracy, a za nimi co? Pożółkłe pergaminy, których dziś nawet antykwarze kupić nie chcą...

— Znowu zaczynasz księże...

— Usque ad finem mój dobrodziejzu. Pokażcie mi między obywatelstwem 36-letniego człowieka, któryby zrobił tyle i takich rzeczy jak Bodmer. Małem zaczął a na wielkiem skończył... Dziś już nawet rząd się z nim rachuje... Wiem z dobrego źródła, że go wezwano do Petersburga w skład jakiejś komisji,



która ma uregulować ustawę przemysłową... Pojedzie tam zaraz po świętach.

— Musi być dumny z tego odznaczenia...

— Dumny? Zachciałeś kolator! Nawet o tem nikomu nie wspomniał...

— A czy to nie świadczy dobrze o jego obywatelskim duchu — przemówiła Marja — że chciał całą okolicę wciągnąć do naszej spółki, i chciał abyśmy wspólnymi siłami powiatu założyli fabrykę...

— I cóż się stało? — z ciekawością pytał Bzowski...

— Na niczem się rozeszło, bo sąsiedzi nie mieli odwagi i nie zrozumieli własnego interesu...

— Tylko ona jedna miała rozum — pokazał ksiądz na Marję — białogłowa zawstydzila wszystkie powiatowe powagi... Ot! to czasy mój dobrodzieju!..

— Czy Bodmer przyjeżdża tu kiedy? — spytał po chwili milczenia Bzowski.

— Jak mamy coś wspólnie omówić, zadecydować... I dziś przyjedzie także...

— Możebyś mi go zaprezentowała?

— Jeśli ojcaszek żąda... najchętniej...

— Proszę cię o to... A cóż Molska o nim mówi?...

— Rozplywa się mój kolatorze... W ogóle wszystkie panie kokietują go aż grzech... Z wyjątkiem naturalnie Maryjki, która trzyma go o sto kroków od siebie, mimo że ma z nim wspólne interesa... Ale na mnie czas jechać... Wstąpiłem tylko na chwilę spytać o zdrowie kolatora dobrodzieja, a przesiedziałem już spory kawał czasu...

— Czy myślisz księżuniu, że ja cię puszczać?... Ja kontent, że mam kogo do gawędy. Nie wywiniesz mi się tak prędko, zostaniesz u nas na obiedzie. Prawda Maryjko?...

— Naturalnie...

W tej chwili lokaj oznajmił Marji przybycie Bodmera.

— Proś go tutaj Stefanie — przemówił Bzowski — a powiedz kucharzowi, że ksiądz proboszcz będzie na obiedzie...

Lokaj wyszedł. Marja popatrzyła do zwierciadła i poprawiła rozburzone trochę włosy; ksiądz z jakimś zadowoleniem zacierał ręce i uśmiechał się, ale tak niespostrzeżenie, że tego niewidział ani Bzowski, ani Marja.

Do wchodzącego właśnie Bodmera podeszła Marja i podała mu rękę na powitanie....

— Przedstawiam i polecam ojcaszkowi p. Henryka Bodmera, naszego sąsiada i współnika...

Bodmer skłonił się, Bzowski wyciągnął ku niemu swoją wychudłą rękę.

— Kogo moja Maryla poleca, tego przyjmuję z całą serdecznością i proszę w niepamięć puścić co było....

— Będę się starał na sąsiedzką życzliwość i przyjaźń zasłużyć....

— Proszę niech pan sąsiad siada — zaprosił Bzowski, wskazując krzesło obok siebie.

— Pozwól pan powitać najpierw naszego kochanego kanonika — rzekł Bodmer podchodząc do proboszcza.

— Daj go katu! — zaśmiał się staruszek biorąc podaną sobie rękę. — Mój parafianin wyawansował mnie na kanonika... a to za ciągle strofowanie, że w kościele nie bywa jak rok długi.... Cóż tam sływać na świecie?....

— Ponówka się ścięła — powiedział Bodmer — wskazując na okno.

— Czy sąsiad jesteś myśliwym? — zapytał Bzowski.

— Potroszę; choć nie mam gdzie polować. Siekiery moich drwalów ploszą zwierzynę i wynosi się w sąsiednie lasy.

— Powiadają, że w Bzowie nie zle polowanie — wmięszala się do rozmowy Marja. — Proszę z niego bez namysłu korzystać.... Czy tak ojcaszku?

— Ale rozumie się.... kto wie czy ja będę kiedy z tej przyjemności korzystał....

— Pan Bodmer wyrezy kolatora dobrodzieja... Mógłbyś pan zapolować przed świętami.... możeby tam jaka szaraczyna kapła na proboszczowski stolik....

— Nie zapomnę z pewnością o księdzu kanoniku...

— Anticipando dziękuję za zajączka nie za tytulaturę, do której nie mam prawa....

— Ale która ci się już dawno należy księżuniu — rzekł Bzowski. — Zapomniano o tobie na górze....

— Cóż robić.... nie miał kto prałatom przypomnieć biednego wioskowego proboszcza, który zaśniedział przez trzydzieści lat na parafii....

— Uważa sąsiad — rzekł Bzowski z uśmiechem — jak proboszcz do mnie pije?... Nieśluszenie proboszczuniu, nieśluszenie, bom nieraz mówił o tobie gdzie należało, ale cóż, nie miałem wpływów i moje wstawienia nie pomogły....

— Gdybym koniecznie chciał być kanonikiem, potrzebuję tylko słoweczko szepnąć mojej nowej kolatorce, a pelerynka gotowa.... Już ona to potrafi.

Marja uśmiechnęła się, Bodmer także. W spojrzeniu, które sobie rzucili, było pewne porozumienie.

— Byłoby trudnem — rzekł Bodmer — uzyskać jedną rzecz dwa razy księżu kanoniku....

— Uwziąłeś się pan drwić ze mnie.... czy co?

— Pan Bodmer oddaje co się komu należy... księżu kanoniku — powiedziała Marja znacząco.

— W imię ojca — przeżegnał się proboszcz. — Ja kanonikiem? Przecieżbym musiał o tem wiedzieć.

— Dziś, jutro, nadejdzie dekret biskupa. Ekspedjowano go przy mnie — zapewniał Bodmer ściskając dłoń staruszka.

— Na serjo? — pytał tenże niedowierzająco,

— Ależ najpewniej.... Przypomnienie nowej kolatorki skutkowało.

— Niech kanonik nie wierzy — bronila się Marja. — To pan Bodmer przypominał....

— Macie! — śmiał się ksiądz. — Między dwojgiem siekierka zginęła. Komuż teraz mam dziękować?

— Swojej tylko zacności kochanego kanoniku — zapewniał Bodmer — swojemu dobremu sercu i niesplamionemu niczem kapłaństwu. Gdyby odemnie zależało, na stolicy biskupiej posadziłbym kanonika.

— Za nim to nastąpi — powiedział Bzowski — niech i ja ci księżuniu powinszuję.... Ot, widzisz, jakie my niedołągi.... Młodzi nas zawstydzają. Dla nich wszystko robią, dla nas nic. Kiedyście się państwo tak spisali, musimy oblać kanoniki łańcuch i pelerynkę.... Sąsiad zostanie u nas na obiadku?

Trzy pary oczu spojrzęło ze zdziwieniem na Bzowskiego.... Marja oblała się rumieńcem. Bzowski widząc wahanie się Bodmera, dodał:

— Nie odmówi mi sąsiad przecie tej przyjemności.... Prośno sąsiada Maryjko....

— Ojciec tak spragniony towarzystwa....

— Trudno oprzeć się takiemu serdecznemu zaproszeniu....



— Maryjko, każ wyprządź konie sąsiada a do obiadu podać węgryzna...

— Pan Bodmer nie wypije mojego zdrowia; wiem to naprzód — powiedział ksiądz machając ręką.

— Dlaczego kanoniku? — zapytał Bzowski.

— Bo nigdy wina nie pije, tylko czystą wodę.

— Czy to prawda panie sąsiedzie?

— Najprawdziwsza — zapewnił Bodmer.

— Szkoda!....

— Antoni powiada, że jestto jedyna wada pana Bódmera — śmiał się kanonik — i ja się na to — manu propria — podpisuję. Kardynałna wada mój kolatorze między nami szlachtą.

— Zkądże ty księżuniu tak się raptem do szlachectwa przyznajesz?

— Przecieżem z prostego księdza awansował na kanonika, a w naszej hierarchji równa się to szlachectwu.

#### XIV.

Że wieść o zawarciu spółki między Leśną a Bzowem lotem błyskawicy cały przeleciała powiat i dużo wywołała wrzawy — ani mówić potrzeba... Na rachunek tego zdarzenia potworzono tyle najróżnorodniejszych plotek, tyle wymyślono komentarzy i tyle najsprzeczniejszych podsunięto pobudek, że w labiryncie domysłów, mniemań, przekonań i anegdot, nie wyznałby się najgłębszy badacz życia ludzkiego.

Ponieważ sprawa skryptów, a więc zadłużenia Bzowa, dla całej okolicy była dotąd tajemnicą, nie umiano sobie wytłumaczyć dlaczego Bzowski dawał córkę Bożyckiemu. Nie umiano sobie także objaśnić, dlaczego to małżeństwo zerwało się w ostatniej chwili, a choroba Bzowskiego, jakkolwiek pozwałała się domyślać pewnych ciemnych punktów w całej sprawie, nie mogła przecież całkowicie ich wyjaśnić.

Dziwiono się także przeniesieniu hipoteki na córkę; dziwiono nagle związanym stosunkom z Bodmerem, którego jeszcze niedawno nazywał Bzowski największym wrogiem kraju; dziwiono się jak najdumniejszy szlachcic mógł wejść w stosunki tak ściśle z parweniusem, którym jeszcze niedawno pogardzał. Zdziwieniom nie było końca; obrabiano ten temat na przeróżne warjacje.

Firma „Bodmer i Bzowska“ nastroczała obszerne pole domniemań, rodziła tysiące kiepskich dowcipów a motorem wszystkiego była źle skrywana zazdrość i żal za straconemi samochcąc korzyściami. Teraz dopiero otwarły się sąsiadom oczy, że idąc za głosem Piżmowskiego, dając się powodować uczuciu bojaźni, wypuścili z rąk sposobność z bogacenia się. Ujadano na Piżmowskiego bij, zabij; był kozłem ofiarnym rozsierdzonej szlachty.

W tem rozsierdzeniu, w tym żalu było tyle logiki, ile w odrzuceniu projektów Bodmera na zebraniu w Leśnej. Wszakże sama firma nie odnosiła jeszcze korzyści? sama firma nie rozpoczęła działać produktywnie ale dopiero przygotowywała przedsiębiorstwo. Zkąd pewność, że się ono powiedzie?... Ale rozżalonym ani mówić o logice... Oni widzieli tylko dwie rzeczy: dotychczasowe powodzenie Bodmera i dotychczasowy wstręt Bzowa do jakiegokolwiek hazardu. Z tych dwóch zestawień wnioskowali, że jeżeli skrupulatny Bzowski wdał się z Bodmerem w interes, to ten interes musi być świetny, musi obiecywać bardzo grube zyski.

I szcégólna... Zamiast obwinić siebie, obywatelstwo uczepiło się Bodmera i Bzowskiego, szarpało

ich dobre imię na różnorakie sposoby. Nie myślmy jednak by wskutek tego sąsiedzi zerwali z Bzowem. Bynajmniej. Za oczy szarpało wprawdzie imię Bzowskich ale niemniej odwiedzano Bzów, a odwiedzano go częściej jak przedtem. Powstanie z choroby dawało sposobność do wynurzenia panu Onufremu swojej niezmiennej przyjaźni sąsiedzkiej. Szarpało za oczy, schlebiano w oczy; taktyka wszystkich neutralnych, spodziewających się, że fortuna kiwnie ogonem i obmawiany zostanie potęgą z którą trzeba się będzie liczyć w przyszłości.

Jeżeli Marja jako jedynaczka p. Onufrego, mogąca dostać w posagu czyściutenki Bzów, była dotąd partją dobrą, o którą ubiegało się wielu, to obecnie po odkryciu pokładów galmanu i po wejściu w spółkę z Leśną dla wydobywania tegoż, przedstawiała się kandydatom do stanu małżeńskiego jako jedna z najświetniejszych partyj nie tylko w okolicy, ale w kraju całym. Czwartkowe wieczory zgromadzały teraz nie tylko bliskich przyjaciół ale także dalszych znajomych, a nawet zupełnie nowych, których tamci do domu pana Onufrego wprowadzali. Coraz częściej zaczęły się pojawiać nowe postacie młodych synów obywatelskich nawet z dalszych okolic aby zobaczyć i zbliżyć się do gwiazdy szacowanej — in spe — na miliony... A że to był karnawał i Bzowski czuł się zupełnie zdrowym, pałacyk Bzowa wrzał życiem co czwartek i fama głosiła że nigdzie tak jak tam wesoło się nie bawiono.

W obec wypadków i ludzi — osoby między którymi rozgrywał się dramat skryptowy pozostały na pozór niezmiennymi. Nie mniej jednak każda jednostka tego kółka prowadziła politykę na własną rękę; jedna w obec drugiej miała zamiary i tajemnice które starannie ukrywała.

Najwięcej zmienił się po chorobie Bzowski. Z hałaśliwego, mownego mężczyzny stał się cichym i powolnym starcem; z upornego, stawiającego na swoim, uległym i ustępującym, a spotęgowana miłość jego dla Marji objawiała się tem, że patrzył w nią, w jak obraz; chciał odgadnąć każde życzenie, uprzędzić jej chęci, poddawać się jej żądaniom. Do niczego się nie mieszał — w niczem nie krzyżował jej rozkazów. W obec Bodmera zachowywał się z rezerwą. Widać było, że słów Bzowskiego i obejścia, że podziwiał rozum Bodmera, oddawał sprawiedliwość jego skromnemu i pełnemu szacunku zachowaniu się w obec siebie, że ciekawie słuchał jego zdań i sądów, ale nigdy serdeczniejsze słowo przyjaźni nie wyszło z ust jego, nigdy nie był z Bodmerem na stopie poufnej znajomości.

W dziwnem położeniu znajdowała się Marja. Stosunki majątkowe, wspólność interesu, wymagały zbliżenia do Bodmera i istotnie ją zbliżyły, względ zaś na szlacheckie przekonania ojca kazał trzymać się z daleka, niedopuszczać do poufalego zbliżenia. Nie ma co ukrywać. Serce ciągnęło ją ku Bodmerowi; miłość dziecka odpychała. Czuliła na sobie zawsze badawczy wzrok ojca ile razy rozmawiała z Bodmerem i nieraz zauważała jak przyjaźniejsze słowo, gest życzliwy dla Henryka, wydobywał z piersi ojca westchnienie, zasępiał mu czoło. To też starała się być względem Bodmera uprzejmą ale zimną, i tak panowała nad sobą, że on nie przypuścił w niej jakiegokolwiek dla siebie uczucia.

Przyznać trzeba, że Bodmer ułatwiał jej to zadanie swoim zachowaniem się. Był jak zwykle ma-



łomowny, zimny, spokojny i tylko czasem gdy byli sami, oko jego błysnęło namiętniej, głos jego stawał się łagodny i miękki, słowa płynęły mu z ust szybciej, twarz rozchmurzała się. Za pojawieniem się osób trzecich był znowu surowy i poważny. Na wieczorach czwartkowych bywał wprawdzie, ale starał się, aby najmniej uwagi na siebie zwracać; chował się w cień i robił tak niepozornym, że towarzystwo ze zdziwieniem patrzyło na niego i zapytywało siebie, jak ten niemowa może być energicznym, ruchliwym, despotycznym Bodmerem, o którym opowiadano tak wiele. Formalnie zniknął w obec drugich. Bzowski, który z nim w kółku rodzinnem mówił wiele, który wiedział ile przymiotów mieści się w tym człowieku, któremu Bodmer imponował, nie umiał sobie wytłumaczyć tego zaparcia, tego chowania światła pod korzec. Jemu się zdawało, że każdy parweniusz powinienby być butny, narzucający się, starający zaćmić sobą wszystkich i wszystko, a tymczasem skromność Bodmera przechodziła jego oczekiwania. Miał do niego prawie żal. On byłby się rad pochwalić przed światem, jakiego to rzadkich przymiotów współnika i sąsiada ma u siebie; starał się nieraz w rozmowie wysunąć go na pierwszy plan, ale to mu się nigdy nie udawało. Prędzej zdziałać to potrafił profesor, który od świąt bawił w Bzowie.

Szczególniejsze stanowisko w obec tych wszystkich osób zajmował kanonik. W rozmowie z Bzowskim znalazł zawsze sposobność powiedzenia czegoś pochlebnego o Bodmerze, ale nie omieszkwał dodać, że to człek nader dumny i nie zniżyłby się np. nigdy do ożenienia z prostą szlachcianką, bo mu taka za niska. A przedstawiał to tak zręcznie i zjadliwie, że tym zawsze rozirytował Bzowskiego...

W obec Maryjki również chwalił Bodmera ale w inny sposób i kładł nacisk na to, że dokaże wielkiej sztuki ta kobieta, która Bodmera potrafiłaby ująć dla siebie, roznamiętnić, rozkochać. Twierdził że to rzecz niemożliwa, zwłaszcza dla Marji. Ona słuchała niedowierzająco a po każdej takiej rozmowie Bodmer zyskiwał miłszy uśmiech, życzliwsze spojrzenie, jakby na przekór kanonikowi.

Przed Bodmerem ksiądz z innego zaczynał tonu. Przedstawiał Marję jako dziewczę pozbawione wszelkich kastowych przesądów i twierdził, że oddałaby rękę swoją najniepozorniejszemu człowiekowi, byle go pokochała; że poszłaby za niego wbrew całemu światu, wszystkim stosunkom, byle stworzyć ukochanemu raj... Po każdej takiej rozmowie Bodmer śmieiej patrzył w piękne oczy swojej współniczki, ożywiał się, był weselszy. (C. d. n.)

## Martwa natura.

### USTĘP Z DZIEJÓW ARTYSTY.

PRZEKŁAD I NIEPRZEKŁAD PRZEZ J. Z.

(Dok.) Czemu Stopfer nie napisał mi jej nazwiska? Wszakżeż w Neapolu miało być wiele księżniczek; jakże zatem znaleźć tę, wiedząc tylko jej tytuł?

— Ach, westchnąłem nagle, moja księżniczka odróżnia się od wszystkich innych swą pięknoscia. To wystarczy, aby ją znaleźć i ja ją znajduję.

Przenosiłem w każdym razie najusilniejsze starania nad bezczynność w tym względzie. Postanowiłem pojechać natychmiast do Neapolu...

Ale załedwiem powziął ten zamiar, wnet ważna bardzo przeszkoda zaniepokoiła mnie znowu.

Nie posiadałem włoskiego języka! Umialem tylko kilka zdań, odnoszących się do najzwyczajniejszych potrzeb codziennego życia. To mi nie mogło wystarczyć do wyszukania mojej nieznajomej. Musiałem zatem znaleźć sobie powiernika.

W kwadrans potem znajdowałem się w pracowni Charters'a.

— Wszak ty doskonale mówisz po włosku, nie prawdaż?

— Podobno. Ale cóż z tego?

— Czyś był już kiedy w Neapolu?

— Dwa razy.

— Chciałbyś tam jeszcze pojechać?

— Czemu nie?

— A kiedy?

— Wtedy, gdy mi bogi pozwolą! Gdy sprzedam z jakie dwa obrazy.

Wówczas zacząłem go zachęcać do tej podróży i po kilku chwilach rozmowy zgodził się na towarzyszenie mi w tej wyprawie.

To też nazajutrz, o świcie, siedzieliśmy już obok siebie w „vetturinie“, które przebywało dawną drogę appijską, kierując się ku bagnetom pontyńskim i Terracinie.

Neapol! Ta wspaniała równina, poprzedzająca miasto, począwszy już od Caserty i widoki, jakie przedstawia oczom turysty ta zatoka i te wybrzeża, te wyspy, to niebo, ten Wezewjusz! Nie po to tu przybyłem, aby to wszystko oglądać... Neapol zawierał dla mnie coś daleko ciekawszego i więcej zajmującego nad to wszystko.

Stańliśmy w hotelu „Crocelle“ i pomyślałem, że może jestem o kilkadziesiąt kroków tylko od miejsc, w którym się znajduje moje bóstwo.

— Kto wie — mówiłem sam do siebie — czy jej sam nawet nie spotkam na ulicy!..

Powiedziałem pokrótce Charters'owi, co mnie ściągnęło do Neapolu, napomknąłem mu o trudnościach których się lękałem, dodając przytem, że leży w tem tajemnica, której przysięgłem nie zdradzić. Wysłuchał tego wyjaśnienia spokojnie, bynajmniej nie zarzucając mnie zapytaniami.

— Słuchajno — rzekł wesoło — ludzie tak energiczni jak my, nie znają trudności. Zaczynajmy natychmiast. Hejże chłopcze! — zawołał na garsona hotelowego — jest tu jakaś księżniczka czy księżna która mieszka przy ulicy Lavinajo, w dzielnicy del Mercato; zapomnieliśmy jak się ona nazywa. Czy ty nie wiesz przypadkiem?

Zapytanie to sprawiło wielkie wrażenie na garsonie; brwi podniósł, a dolną wargę wysunął z wyrazem niezwyklego zdziwienia.

— „Una principessa“? — zapytał niedowierzająco.

— Tak, czy słyszałeś co o niej?

— „Signori“, to być nie może; w tej części miasta mieszkają tylko biedacy.

Spojrzeliśmy obaj na siebie.

— Musi być w tem jakaś pomyłka — szepnąłem z uczuciem rozczarowania.

— „Si signori, certamente“.



Nie chcieliśmy uznać się za zwyciężonych zaraz z samego początku. Conway zachęcił mnie do natychmiastowego działania.

— Chodźmy tam sami — rzekł — zobaczymy, czy możliwym jest, aby tam mieszkała nasza księżniczka.

Ale ponieważ byłoby to nieostrożnym z naszej strony zapuszczać się bez przewodnika w stronę miasta tak mało uczęszczaną, przyjaciel mój postanowił zwołać znajomego sobie cicerona, człowieka jakich mało, po którego posłał do hotelu W. Brytanji.

— Jestto książę ciceronów! — zawołał. — Jestto, o ile wiem, jedyny włos, który umie trzymać język za zębami i który nie nuży swoim gadulstwem.

W towarzystwie owego przewodnika udaliśmy się o zmroku w wiadomą stronę miasta. Musieliśmy przebyć cały labirynt ciasnych i brudnych uliczek. Spotykaliśmy na drodze gromady dzieci napół nagich; widzieliśmy w oknach powywiszane łachmany, a przechodzący żebracy przekonywali nas, że ta część miasta nie była bynajmniej arystokratyczną.

Wahaliśmy się oba, czy iść dalej, czy zawrócić, gdy w tem Pinto, wskazując nam ohydą uliczkę, ciągnącą się w kierunku fortu świętego Elma, zawołał:

— Oto ulica Lavinajo.

Spojrzelśmy po sobie i parsknęliśmy śmiechem. Zabawiło nas przypuszczenie, że taka wybrana perła może się znajdować w takiej kupie gnoju.

Co ten Stopfer myślał, przysyłając mnie tutaj?

Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko ztąd odejść.

Wróciwszy do hotelu, w towarzystwie signora Pinto, przekonałem się, że to, co mój przyjaciel mówił o nim, było prawdą.

Pinto patrzył na nas cały czas w milczeniu. Skorośmy przestali mówić, zdawało nam się, że zrozumiał doskonale o co nam chodziło.

— Signori — rzekł do nas — wy kogoś szukacie. Powiedzcie mi to... Jeżeli tylko ta osoba jest w Neapolu, to ja ją znajdę, zaręczam wam za to.

Conway zwrócił się ku mnie i rzekł:

— Wiesz, że to bardzo być może. Na twojem miejscu powiedziałbym mu wszystko co wiem o księżniczce. On zna bardzo wielu ludzi, którzy mogą mu być pomocnymi w tem przedsięwzięciu. Tylko trzeba mu wynagrodzić za stratę czasu i za trudy i obiecać pokazną sumkę, jeśli mu się to przedsięwzięcie uda. Radzę ci nie zwłóczyć.

Zgodziłem się natychmiast na tę propozycję. Zrobiliśmy z sobą umowę, z której Pinto okazał się niezmiernie zadowolonym. Obiecał mi wynaleźć księżniczkę, która pozowała Stopferowi przed dziesięciu laty; powiedzieć mi jej nazwisko, dać wiadomość o jej rodzinie i o jej losie; zaprowadzić mnie do niej jeśli ona była w Neapolu i przekonać mnie, że to ta sama której szukałem.

Zdziwiło mnie niezmiernie, że on sam bez namysłu podjął się tego wszystkiego.

— Dziwiłbym się temu tak jak ty — rzekł Charters — gdybym nie podejrywał go, iż jest policjantem. W Neapolu jedna połowa ludności szpieguje drugą.

Cheąc skrócić chwile oczekiwania, wybrałem się nazajutrz z Charters'em do Pompei. Wróciwszy wieczorem do hotelu, zastaliśmy Pinta, który na nas czekał. Na obliczu jego malowało się zadowolenie, które budziło w nas najśmielsze nadzieje.

Na zapytania nasze nie chciał jednak odpowiadać, rzekł tylko:

— Gdybyś pan mógł mi dać małeńkie bozzeto, to jest, jak panowie nazywacie, rysunek jaki, szkic... to by mi bardzo dopomogło.

— Rysunek! — zawołałem — a i owszem; dam ci go jutro. dziś bowiem jestem tak zmęczony, że nie mógłbym utrzymać ołówka w ręku.

Nazajutrz nadzieje nasze rozbudziły się znowu, gdyśmy ujrzeli błyszczące oczy Pinta i usta rozchylające się do uśmiechu, w chwili, gdy wzrok jego padł na rysunek, który mu wręczałem.

Był on wprawdzie jeszcze bardzo małomówny, ton jego wszakże brzmiał jakoś znacząco, gdy rzekł:

— Przybędę może jutro rano i zabiorę panów z sobą na przechadzkę. Nie wychodźcie zatem, Signori.

Conway klasnął w ręce tak silnie, że się zdaowało, iż ktoś strzelił z pistoletu.

— No, jeżeli się jutro nie dowiemy wszystkiego, to ja nie jestem artystą!

Nazajutrz zerwałem się z łóżka wcześniej jeszcze niż zazwyczaj. Niecierpliwość mnie pożerała. Zdawało mi się, że ten poranek nigdy się nie skończy. Siadłem do śniadania, ale nic do ust wziąć nie mogłem. Wstałem i wyszedłem na balkon, po którym przechadzałem się szybko, z cygarem w ustach, wywołując wielkie zdziwienie u kilku gapiów neapolitańskich, którzy powtórzyli przy tej sposobności znane przysłowie w południowych Włoszech: „Gli Inglesi sono quasi tutti pazzi.\*)

A za to „quasi“ jeszcze należało im być wdzięcznym!

Wtem jakiś powozik zatrzymał się przed bramą. To Pinto przybył po nas!

Podlegam, na nieszczęście, bardzo cierpieniu, które mi dokucza całe życie. Skoro tylko doznaję nieco żywszego wrażenia, wnet mi serce zaczyna uderzać gwałtowniej, poczem bić przestaje, a ja, wstyd mi wyznać, wpadam w omdlenie.

Oto co mi się zdarzyło przy tej sposobności.

Charters, energiczny i szybki w działaniu, wyrwał mnie z tego stanu, wlewając mi jedną ręką w gardło kilka kropel wódki, a drugą pryskając mi zinną wodą na głowę, z której popłynęła wzdłuż szyi chłodna struga. I to mnie orzeźwiło.

Pinto nie siadł z nami do powozu; nie wiem, czy przez szacunek, czy też dla uniknięcia zapytań, dość, że siadł na koźle obok woźnicy.

Powóz ruszył i jechał z jakie pół godziny aż do podnóża Panzitiu, gdzie cicerone nasz wysiadł, prosząc nas abyśmy uczynili toż samo.

Nie odpowiadając wcale na nasze pytania Ponti poprzedził nas i wszedł w ciasną spadzistą uliczkę, zamieszkałą przez rybaków i lazarónów, pełną chat na pół rozwalonych, z których każda otoczona była jednak pięknym ogrodem.

Nie potrafię opisać wzruszenia, jakiego doznałem w chwili, gdy mi się zdawało, że już... już... tajemnica, kryjąca księżniczkę, odsłoniętą zostanie. O jednym tylko nie mogę nie wspomnieć, a mianowicie o zdziwieniu, w jakie mnie wprowadziło przypuszczenie, że moja księżniczka może się znajdować w takiej części miasta. Serce mi biło tak mocno, iż dwa lub trzy razy podczas pięcia się na górę musiałem się oprzeć na ramieniu mego towarzysza podróży.

\*) „Anglicy są prawie wszyscy warjaci“.



W miarę, jakęśmy się pieли, uliczka ta przybierała postać opustoszałej ścieżki; domy pojawiały się coraz rzadziej, a mały potok, skaczący po kamieniach, ożywiał nieco tę smutną miejscowość.

Nagle Pinto, który szedł przed nami, zwrócił się szybko do nas, a wyciągając rękę rzekł patetycznie: — Ecco! ecco la principessa!

Ujrzelśmy wówczas poprzez bardzo zniszczone ogrodzenie rodzaj niskiej chałupy, zbudowanej z drzewa i gliny i pokrytej czerwonymi dachówkami. Chałupka ta przyczepioną była do olbrzymiej skały, ze szczytu której spadał wyżej wspomniany potok, tworząc kaskadę.

W miarę jakęśmy się do tej nędznej lepianki zbliżali, usłyszeliśmy krzyki i śmiechy dziecięce, co nam dowodziło, że jakaś wesola gromadka dokazuje po za tem ogrodzeniem.

Ale, skorośmy stanęli przed furtką od ogródka, dzieciaki umilkły i przerażone widokiem obcych figur stanęły jak wryte, otwierając szeroko oczy.

Przed drzwiami chałupki siedziała jakaś kobieta. Obrócona była do nas plecami. Robiła siatkę, a nad głową jej spuszczał się bujny liść jakiejś pnącej się rośliny. Głowa jej i ramiona okryte były zwyczajnym „fazzoletto“ (chusteczka), a za całe ubranie miała na sobie krótką spódniczkę neapolitańskich wieśniaczek.

Dziwna rzecz! Ani nagłe uciszenie się dzieci, ani okrzyk Pinta, ani nasza obecność, — nic nie zwróciło jej uwagi... poruszała wciąż igliczką, nie odwracając się wcale.

Podczas gdy ja stał nieruchomy i jakby skamieniały, signor Pinto miał tak tryumfującą postawę, że miałem ochotę wyrzucić go za płot raczej, niż pytać go o objaśnienie.

Jednakże, chcąc się pozbyć i cienia nawet wątpliwości, poszedłem sam do tej kobiety — a w tejże chwili jeden z dzieciaków, zaniepokojony snąc mojem zbliżeniem, podbiegł ku pracującej i chwycił ją za odzienie.

Kobieta odwróciła się i oczy się nasze spotkały. Była to istotnie „księżniczka“.

Zapominając nagle o wszystkim — zapytałem jej żywo:

— Czy mnie pani poznajesz?

Wyraziła jej oczy spoczęły przez chwilę na mnie, poczem zwróciła je ku starszej córce, która także przybiegła, jak gdyby chciała ją bronić od napaści.

Dziewczynka ta odpowiedziała mi w dialekcie neapolitańskim:

— Mamma non ci scute è non parla \*)

Czy mam być szczerym?... Skinąłem na Charters'a i uciekłem aż na szczyt pagórka, gdzie płakałem tak, jak płaczą zakochani, którzy już całkiem stracili nadzieję.

Tegoż samego dnia wieczór dostałem od Pinta notatkę, mającą wszelkie cechy urzędowego dokumentu, którą tu podaję w przekładzie:

„SERAFINA PAGANO,

urodzona w Pinano Sorrento, 1805 — głuchoniema — opuściła Sorrento w 1820 — mieszkała kolejno w Neapolu, Florencji i Rzymie — służyła za modelkę malarzom i rzeźbiarzom, którzy jej nadali przydomek Księżniczki. Wyszła w 1823 za Bartolomea Starace, marynarza w Neapolu — osiadła w Neapolu od 1823 — gdzie używa najlepszej opinji“.

\*) Mama nie słyszy i nie mówi.

We dwa dni potem, wskutek umowy z Pintem, przyszła ona do naszego hotelu ze swoją starszą córeczką i mężem, małym przysadzystym człowieczkiem, bardzo pospolitym, ale dobrodusznym, jak się zdawało.

Dziewczynka służyła nam za tłumacza. W jaki sposób powtarzała ona swej matce nasze słowa w tejże samej chwili, gdyśmy je wymawiali i jak szybko tłumaczyła nam odpowiedzi swej matki, nie będę tu opisywał: powiem tylko, że scena ta była niezmiernie zajmująca.

Księżniczka przypominała sobie dobrze moją osobistość. Nie wiedziała nazwiska zakwefionej damy, u której ją widziałem. We Florencji rzeźbiarz Andreoli nakłonił ją do wyjazdu z jakimś milordem i jakąś milady, z którymi przepłynęła morze; ale do jakiego kraju się udała? nie wiedziała sama, nigdy bowiem nie słyszała o mieście, które się zowie Londynem.

Milady nie zawsze bywała zakwefioną; osłaśniała się tylko wtedy, gdy miała wchodzić do pracowni. Dlaczego ta przezorność? Księżniczka nie wiedziała tego, a nawet nie była tego ciekawa.

Milord był to wedle jej słów prawdziwy „galantuomo“ i bajecznie bogaty. Przez cały czas pobytu jej u milorda i milady mnie jednemu tylko pozowała.

Co do ściętej głowy, nie można było nic z niej wyciągnąć. Ujrzała ją po raz pierwszy w srebrnej czarze i wcale się tem nie niepokoiła. Pamiętała tylko, że pewnego dnia, gdy stała w oknie, kondukt żalobny wychodził z domu milorda.

Chwaliła uprzejme obojście milorda i milady, jakoteż i ich bogobojność.

Sama milady odwiozła ją nie do Florencji, lecz do Neapolu, gdzie sama pragnęła powrócić i gdzie dzięki szczodrobliwości tej pani, mogła wyjść za Bartolomea. Od owego czasu nic już nie słyszała o tej tajemniczej parze.

Oto i wszystko.

Ponieważ Charters tyle mi usług oddał w tej sprawie, nie mogłem niczego przed nim utaić.

Wiadomość, że moja piękna Salome była sobie prostą Serafiną Pagano, wykluczała całkiem z tej historii żywioł romantyczny. Reszta była materialem do domysłów, to też domysły te stały się treścią moich rozmów z Chartres'em.

— Mój przyjacielu — rzekł mi wreszcie ten ostatni, zagłębiając ręce aż po łokcie w długiej swej czuprynie — jestem zdania, że nie należy już wcale o tem myśleć. Zamiast upierać się przy czemś, co nas do niczego nie doprowadzi, powinniśmy się nieco rozerwać. Chodźmy dzisiaj do San Carlo. Baw się, zajmuj czem innym, a zostaw tę dziesięcioletnią tajemnicę diabłu, który jej z pewnością dał początek.

Czułem, że zrobię najlepiej, gdy pójdę za tą radą. Poszliśmy wieczorem do San Carlo, a następnie zwiedzaliśmy codziennie wszystkie cuda starożytnej Partenopy.

Po upływie dwóch tygodni wróciliśmy do Rzymu, skąd po kilku dniach wyjechałem do Londynu, zapomniawszy całkiem o tajemnicy, która mnie tak długo dręczyła, nie przypuszczając, że mi się ona odkryje kiedyś w dziwny i niespodziany sposób.

### III.

Łaskawy czytelnik przypomni sobie może, żem się z nim rozłączył w 1833 roku.



Od tej chwili siedmnaście lat upłynęło... Przez ten czas wiele się zmieniło i rzeczy, i uczuć i wrażeń...

Oswobodziwszy się od jednego uroku, poddałem się drugiemu, czyli innemu słowy, ożeniłem się przed piętnastu laty.

Żona moja zowie się Helena, lub Nelly, stosownie do tego czy jest w dobrym humorze, czy też nie. Mój syn najstarszy, to już duży chłopak, rokujący najświetniejsze nadzieje. Pomiedzy nim a najmłodszym jest sześcioro jeszcze łaskawie ze wszech względów obdarzonych przez naturę.

To wszystko dowodzi, że nic mi nie pozostało ani w głowie ani w sercu z dawnego jakby świat nazwał — romansu.

I rzeczywiście nie myślałem już o nim od chwili, w której żona moja układała do snu pierwsze moje dziecię... Wówczas, przejęty tą myślą, że małżonkowie nie powinni mieć żadnych tajemnic jedno dla drugiego, opowiadałem jej ten epizod z mej młodości.

W kilkanaście lat potem, kiedym się najmniej tego spodziewał, zasłona, która przez czas tak długi kryła ową tajemnicę, rozsunęła się przedemną.

Pewnego razu, ku wiosnie, opuściłem Londyn z moją żoną, w celu odwiedzenia jej ojca, zarządzającego parafją wiejską w jednym z hrabstw południowo zachodnich. Duchowny ten został tam zainstalowany za protekcją lorda B\*\*\*, którego był niedługo nauczycielem.

Rezydencja lorda B\*\*\* była wciąż nawiedzana przez mnóstwo amatorów sztuk pięknych, z powodu wspaniałej galerji obrazów, zbioru rycin i drogich a rzadkich dzieł sztuki, jakie posiadała. Rezydencja ta nadto znajdowała się bardzo blisko plebanji. Margrabia B\*\*\*, zostawszy wdowcem i to bezdzietnym, znalazł pociechę w tem osamotnieniu w swoim zamiłowaniu do zbierania dzieł sztuki, a ponieważ nie miał bliskich krewnych, nie pocztywam mu bynajmniej za złe tego, że wydawał bajeczne sumy dla zadowolenia swego upodobania estetycznego, które się stało z czasem prawdziwą manją.

Jak tylko proboszcz objął plebanję, wnet dwaj przyjaciele nawiązali znowu dawne swe poufale stosunki, przerwane tylko czasowo przez rozmaite okoliczności.

Skoro ich losy zbliżyły do siebie, korzystali z każdej chwilki wolnej, aby się odwiedzać wzajemnie.

I stało się, że zaraz nazajutrz po naszym przybyciu mieliśmy zaszczyt być przedstawieni margrabie przed drugim śniadaniem. Znakomity gość był tak miły i rozmowny i tyle rzeczy miał jeszcze do opowiedzenia w kwestji malarstwa, artystów i amatorów, że przyjął zaproszenie pani domu na obiad.

Po obiedzie lord B\*\*\* wpadł w nieporównanie dobry humor i jał opowiadać cały szereg anegdotek.

Dumny z umiejętności zbierania arcydzieł, lubił opowiadać w jaki sposób dowiedział się o jakimś przedmiocie sztuki, jakimi drogami go szukał i jak się stał posiadaczem onego. Przy tej sposobności zapytał mnie:

— Czy pan znał s. p. barona Mordecai?

— Tylko z nazwiska — odparłem.

— A to wielka szkoda, gdyż ja, który go znałem osobiście, mogę panu zaręczyć, że to był najoryginalniejszy człowiek na ziemi, prawdziwy Napoleon w swoim rodzaju. Miał wszelkie przymioty, które

tworzą wielkość: energję, stanowczość i przenikliwość, a nad to wszystko niezmordowaną wytrwałość.

Nie wiem czy kto posiadał kiedykolwiek tak gruntowną znajomość wszystkiego, co dotyczy wielkich mistrzów. Świat artystyczny odzyskał z jego łaski kilka obrazów straconych, z których parę należy do najcenniejszych arcydzieł... jak np. mój przepyszny Murillo.

— Ach! — zawołałem, czując budzące się na nowo w mej duszy namiętne uwielbienie dla tego mistrza hiszpańskiego. — Obraz Murilla!

— Tak, ja to panu zaraz opowiem. Płótno to, które jak zapewnniają ozdobiło niegdyś zakrystję klasztoru de la Merced w Sewilli, znikło podobno w 1811 roku, a głos ogółu obwiniał o tę zbrodnię załogę francuską, którą dowodził marszałek Soult. Ale zdaje się, że głos ogółu omylił się tym razem, gdyż nikt nigdy w murach Luwru nie widział tego obrazu. Ci, co znali to płótno, nie mogli się pocieszyć po jego stracie; baron Mordecai był jednym z tych, którzy najwięcej tę stratę uczuli. Skorom szedł z nim w bliższe stosunki (było to w r. 1823), wracał właśnie z Hiszpanji, gdzie szukał nadaremnie tego obrazu po wszystkich zakątkach. Z poszukiwań tych zyskał tylko rycinę jedyną i bardzo uszkodzoną tego obrazu, ale pomimo niepowodzenia nie stracił nadziei, że go tam znajdzie.

Zmuszony powrócić do Anglji, nie dał za wygranę, lecz zanim opuścił Hiszpanję polecił poszukiwanie tego obrazu spółce agentów, której działanie miało się rozciągać aż do Rosji i Ameryki.

W jakiś czas potem pokazał mi rycinę zrobioną według zaginionego Murilla i wyznaje, że widok ten natchnął mnie także równie gorącym pragnieniem aby się obraz odnalazł.

Przez całe trzy lata żyliśmy między niepokojem a nadzieją, nie przewidując na czem to się skończy.

Wreszcie w lecie 1826 r. list z Gibraltaru uwiadomił barona, że znaleziono w Ossuna trzy czy cztery płótna przywiezione tamże z Korduby i że między niemi musi się znajdować to, którego baron szukał. Naczelnny agent barona zakupił je zaraz i wysłał do Anglji.

Niepodobna mi jest dać wyobrażenie panu o naszej niecierpliwości. Wreszcie, ponieważ wszystkie mu na świecie koniec być musi, a zatem i nasze oczekiwania zakończyły się.

Paka nadeszła! Ale co za rozczarowanie! Jeden obraz gorszy od drugiego! Skoro baron rozwinął ostatni, kopnął go nogą i zawołał z oburzeniem: „Gwazdaniny te niewarte i dwóch gwinei za sztukę! Takimi łatwo by mi było zapełnić mój hotel na Grosvenor-Square“.

Prawda że to dziwne, ale czekaj pan końca.

W pół roku potem, gdym odwiedził barona, zastałem tam artystę, którego specjalnością było odnawianie starych obrazów. Baron pokazał mi dwa płótna z tych czterech bohomasów już odświeżone, które nam się daleko lepszymi teraz wydawały. Miał on nadzieję, że tak samo się stanie i z pozostałymi, któremi się właśnie miał zająć malarz-restaurator.

W tejże samej chwili malarz ten wydał okrzyk przerażenia, który nas przejął dreszczem... Przybiegamy i dowiadujemy się o przyczynie tego przestachu. Z rogu jednego obrazu, wykruszył się pod palcami malarza kawałek farby, mający dwa lub trzy cale średnicy. Baron rzucił piorunujące spojrzenie na ma-



larza, który uciekł do drugiego pokoju. Właściciel tymczasem przypatrywał się pilnie uszkodzonemu obrazowi. W ten drugi kawałek farby odstał, potem trzeci i t. d.

— Ależ tu wszystka farba odejdzie! O Boże! — zawołał baron.

Nagle myśl jakaś szczęśliwa przemknęła mu przez głowę, uderzył się w czoło, jak człowiek który zrobił jakieś wielkie odkrycie.

— Hola! — zawołał. — Dajcie no mi prędko noża do przecinania kartek, gąbki i ciepłej wody!... Prędeż, prędeż! — zawołał, zwracając się do osłupiałego artysty, który na ten hałas przybiegł z drugiego pokoju.

— Tak, oni często używali tego środka — ciągnął dalej baron, przesuwając poślinionym palcem po miejscach odsłoniętych wskutek odłupania się farby. To najpewniejszy sposób ukrycia obrazu. Jakże ja mogłem niezgadnąć tego dotychczas? Gdyby to przynajmniej... gdyby to był... Ach, może pod tą mazią kryje się milion!...

Zamilkł nagle, zadumał się, a zwróciwszy się do mnie rzekł:

— Co to jest?... Jak się panu zdaje?

— Nie wiem — szepnąłem zakłopotany.

— No to ja panu powiem. Jestto malowanie klejowe pokrywające inny obraz, bardzo piękny zapewne, może nawet jakie arcydzieło... kto wie, czy to nie jest?... W każdym razie zobaczymy.

I powiedziawszy to odwija rękawy jak chirurg, zabierający się do operacji i oto wsuwa ostrożnie ostrze kościanego nożyka pod brzeg pękniętej powłoki. Cały pokład farby odłupuje się po kawałku. Wówczas chwytając gąbkę, nasiąkniętą ciepłą wodą i przesuwając ją po płótnie; wkrótce śliczny kolorystyczny odsłania... Baron zaciska zęby, wstrzymuje oddech i pracuje dalej. Wreszcie okrzyk zdziwienia wyrzywa się z jego piersi, odłamki farby pokrywają podłogę, a piękne, nieporównane malowidło Murilla ukazuje się z całą wspaniałością kolorytu, poprawnością rysunku i urokiem wyrazu“.

Po tych słowach lord B\* zamilkł, badając na mej twarzy wrażenie sprawione przez jego opowiadanie.

— To zadziwiające! — zawołałem. — I ten obraz jest teraz pańską własnością?

— Tak. Nie łatwo mi było nakłonić barona, aby mi go sprzedał. Udało mi się wreszcie nabyć ten obraz w drodze łaski za 15,000 gwinei. Przykro mi było niezmiernie rozstawać się z tem arcydziełem. W trzy miesiące potem prosił mnie, abym mu go odprzedał za 20,000, ałem mu odmówił stanowczo. Jestem najmocniej przekonany, że żadne tysiące ani miliony nie mogłyby wynagrodzić utraty tego arcydzieła. Kiedy pan chcesz je zobaczyć?

— Margrabia jesteś bardzo łaskaw; — wówczas gdy mi pozwolił.

— A więc jutro, jeśli to panu dogodnie. Pokażę panu za jednym zachodem cały mój zbiór, a — dodał zwracając się do matki mojej żony — jeśli państwo przybędziecie wszyscy na drugie śniadanie, to będę w dwójnasób zadowolony.

Nazajutrz wyjechałem przed wszystkimi i zastałem margrabiego, przechadzającego się na tarasie. Cekał sam na mnie. Zaprowadził mnie natychmiast do swojej galerji.

Lubię przechadzać się w galerji obrazów pod warunkiem, żeby mnie nikt nie towarzyszył. Wów-

czas błędę jak mi się podoba. zatrzymuję się gdzie mam ochotę, wybieram sam punkt widzenia i stoję tak długo przed jakimś obrazem, jak tylko chcę. Nie ma nic przykrzejszego jak być prowadzonym na sznurku, a szczególnie przez właściciela galerji, najnieznośniejszego ze wszystkich ciceronów.

To też skorośmy obeszlili raz wielką galerję dookoła, czułem się tak rozdrażnionym, że byłem niezmiernie rad z przybycia reszty zaproszonych gości, albo z wezwania na śniadanie; ale nic z tego, pozostawał nam jeszcze bowiem gabinet pełen rzadkości i... Murillo.

— On jest tam — rzekł margrabia, zatrzymując się u drzwi. — Zbudowałem tę salę umyślnie dla niego.

Weszliśmy. Znajdował się tam w istocie jeden tylko obraz, przed którym stał szeroki fotel.

Margrabia szedł za mną w chwili, gdy się zbliżał do tego płótna. Spodziewał się snąć wybuchu z mej strony, gdyż nie zdawał się bynajmniej zdziwionym, skoro ja, spojrzawszy na obraz, padłem osłupiały na fotel.

— Aha — rzekł z zachwyceniem, klepiąc mnie po ramieniu — rozumiem... spodziewałem się tego... pozostawiam pana sam na sam, gdyż są chwile rozkoszy, tak jak i chwile boleści, w których czyjakolwiek bądź obecność jest nieznośną. Znajdziesz mnie pan w galerji.

Powiodłem za nim błędnym wzrokiem i widziałem jak odchodził na palcach; poczem zwróciłem się ku obrazowi.

Jak prawda że żyję na świecie, tak prawda, że to był mój własny obraz, przedstawiający Solomeę z głową św. Jana.

Życie moje płynęło tak prostem i naturalnem korytem, że nie miałem pojęcia do jakiego stopnia może dojść fałsz i podstęp ludzki. Jakkolwiek nazywano mnie naiwnym, ale tym razem, mając przed oczyma pracę wykonaną własnymi swojemi rękoma, a w myśli świeże opowiadanie lorda B\*, nie mogłem wątpić, że ten ostatni stał się ofiarą oszustwa na wielką skalę.

Siedząc przed owym obrazem, powziąłem dwójakie postanowienie: naprzód, żeby nie wyjawiać kto był twórcą tego Murilla, a następnie, żeby wszelkimi sposobami wykryć tajemnicę tej krwawej głowy... byłem bowiem pewien, iż ludzie, którzy użyli takich środków, aby dopuścić się tak wstrętnego oszustwa, zdolni byli także do popełnienia zbrodni.

Skorom ujrzał znów margrabiego, starałem się unikać wszelkich rozpraw w kwestji obrazu; ograniczyłem się na potakiwaniu, gdy on rozplýwał się w pochwałach arcydzieła, którego posiadaniem się chlubił.

Nazajutrz wróciłem do Londynu. Wywiedziałem się zręcznie od margrabiego, że wdowa po baronie Mordecai żyje jeszcze i że mieszka zawsze na Itighate, jak za życia męża.

Byłem prawie pewien, że owa baronowa to ta sama zakwefiona niemka, która mnie w domu swym więziła.

Zaledwie przybyłem do Londynu, wnet udałem się do mego przyjaciela, powiernika i dozorca, Maurycyego Blake'a. Maurycy mawiał zazwyczaj, że bez pomocy fajki i kieliszka wódki nie był zdolny do oddania najnniejszej przysługi. Widząc jak energicznie zabrał się do jednego i drugiego, mogłem osądzić, jak go obchodzi ten nowy ustęp mojej historii.



Nazajutrz rano udaliśmy się razem do Itighate. Los nam się okazał przyjaznym; znaleźliśmy z latwością mieszkanie baronowej, piękny dom otoczony plantacjami, i baronowa była u siebie.

Ułożyliśmy się, że Maurycy da swój bilet, a nie ja. Przyjęto nas natychmiast, i weszliśmy do ogromnej sali, którą, pomimo pewnych zmian w umeblowaniu, poznałem jako dawną pracownię, gdzie malowałem ów sławny obraz.

W sali tej siedziała kobieta w grubej żalobie; odznaczała się ona przeraźliwą tuszą, oraz mocno czarnymi brwiami, które stanowiły uderzający kontrast z posrebrzonym włosiem i nadawały jej fizjognomji wyraz nader ostry.

Skorośmy weszli, zwróciła ku nam oczy dziwnie czarne i takie przenikliwe, jakich jeszcze nigdy nie widziałem.

— Co panów tutaj sprowadza? — zapytała szorstkim głosem i z owym niemieckim akcentem, który poznałem natychmiast. — Który z was dwóch jest panem Maurycym Blake.

— To ja do usług, pani baronowo — odparł mój towarzysz — ale moje nazwisko nie może pani przywieść na myśl żadnego wspomnienia; to mój przyjaciel, pragnąłby przypomnieć się pani...

— Przypomnieć się mnie? — powtórzyła, zwracając ku mnie badawcze spojrzenie. — Jak pańska godność?

Podąłem jej mój bilet wizytowy, mówiąc:

— Sądzę, że pani mnie nie zapomniałaś.

Zaledwie baronowa rzuciła okiem na mój bilet, wnet zmieniła postawę, a twarz jej przybrała wyraz niedowierzania.

— Ja pana nie znam — rzekła szorstko. — Jam pana nigdy nie widziała.

I powiedziawszy te słowa, wstała, wyciągając rękę do dzwonka, za który mocno pociągnęła.

— Pozwolisz pani, że jej przypomnę fakt, który się nie mógł zatrzeć w jej pamięci, chociaż już wiele lat od tego czasu upłynęło. Pani nie mogłaś zapomnieć, że w tym samym pokoju malowałem obraz, do którego pozowała pewna neapolitanka głuchoniema, Serafina Pagano, zwana powszechnie „księżniczką,” którą pani przywiozłaś z Florencji. Pani sobie przypominasz zapewne, że obraz ten został sprzedany za oryginał Murilla, przez barona Mordecai, lordowi B. Wiem o tym fakcie z ust samego margrabiego, w którego galerji widziałem ten obraz na własne oczy, przed dwoma dniami.

Podczas gdy mówił, baronowa zbladła. Siedziała jak na mękach i zapytała mnie głosem, który jej zamierał w piersi:

— Czyś pan mu mówił, że to sam malowałeś?

— Nie, pani; przysiągłem że będę milczał i milczałem.

Odpowiedź moja zdawała się ją uspokajać nieco; była wszakże wciąż jeszcze blada i zmieniona; osunęła się na fotel, jak gdyby w omdleniu.

W tejże chwili drzwi się otworzyły i ujrzelśmy w nich człowieka, którego poznałem, pomimo łysiny i siwej brody. Był to ten sam, którego dostrzegłem przy świetle lampy w dzień mojego porwania, a którego rysy tak podobne były do rysów owej świętej głowy.

Nieznajomy, przerażony widocznie niepokojem baronowej, zawołał głośno:

— „Was giebts denn?“ (Co się stało?)

Baronowa skinęła nań; zbliżył się do niej i zaczęli rozmawiać po niemiecku z wielkim ożywieniem, poczem nieznamy zwrócił się do nas i rzekł głosem groźnym:

— Baronowa Mordecai oświadcza, że panów nie zna wcale i nie wie zupełnie o jakim to obrazie panowie jej wspominali. Możecie zatem ztąd odejść.

Byłem oburzony; chciałem odpowiedzieć coś pod wpływem tego oburzenia, gdy w tem Maurycy, nakazując mi wzrokiem milczenie, zabrał głos:

— Pozwól pan — rzekł całkiem spokojnie — przyszedliśmy tutaj właśnie w interesie pani baronowej i tylko dla tego, aby uniknęła przykrego procesu z lordem B\*. Tak, proces ten mógłby przywieść krzywdę pamięci jej męża, gdyby wreszcie wykryło się, że baron Mordecai fabrykował okrazy, które sprzedawał za stare. A potem, jest w tem zdarzeniu jakaś święta głowa, jakaś zbrodnia widocznie, która, gdyby wyszła na jaw, dostarczyłaby materiału i policji i dziennikom! Otóż to o tem chcieliśmy pomówić poufnie z panią baronową, ale ponieważ nie chce nas wysłuchać, musimy się oddalić...

Wrażenie, jakie ta raca sprawiła, było nie do opisania.

— Wstrzymajcie się panowie — zawołała. — Chcę powiedzieć słówko panu.

Mówiąc to, wskazała na mnie. Ujęła mnie za rękę i zaprowadziła do okna. Nie pamiętam, czym widział kiedy taki wyraz niechęci i przebiegłości.

— Wiele pan chcesz? szepnęła, — hamując wybuch gniewu.

— Wiele ja chcę? — powtórzyłem, nie rozumiejąc co mówię.

— Tak ile pieniędzy?

— Pieniądzy? — zawołałem oburzony — pani mnie nie rozumiesz.

— Donnerwetter! więc czegoż pan chcesz?

— Pani baronowo! — odparłem podniesionym głosem, występując na środek pokoju. — Pan Maurycy Blake jest moim doradcą w tej sprawie, nie chcę do pani wyrzec ani jednego słowa, któregooby on nie słyszał. Ja pragnę wykryć tajemnicę, która osłania tę świętą głowę, którą malowałem w tymże samym pokoju, wówczas gdy Serafina Pagano pozowała na Herodjadę.

— Tę głowę?

— Tak. Jakim sposobem ona się tu znajdowała?

Kto zabił tego człowieka i po co?

— O Boże! Pan może myślisz, że to myśmy go zamordowali!

— Sądzę że nie; ale wyznam pani, że od 27 lat ta święta głowa ściga mnie jak wyrzut sumienia; zdaje mi się, iż ja sam wziąłem udział w tej zbrodni.

— Człowiek, któregoś głowę pan malował, był bratem tego, co tu stoi przed tobą; to byli bliźnięta.

— Aha! — zawołałem — dlatego takie podobieństwo.

— Natanie — dodała baronowa — opowiedz panu, w jaki sposób twój brat umarł.

Rozkaz ten musiał być wydany po raz drugi, zanim indywiduum nazwane Natanem nakłoniło się do wykonania go. Wreszcie jak niedźwiedz, któremu włożą kaganiec i pogrozą kijem, zlagodniał i mówił:

— Niestety! brat mój został zamordowany, ale to nie przez nas. Pewnego poranku zastaliśmy go w łóżku już nieżywego i broczącego we krwi; miał w sercu sztylet zatopiony aż po samą rękojęść. Mój



brat miał wielki pociąg do stowarzyszeń tajemnych. Zaznajomił się w czasie naszych podróży po Niemczech i Włoszech z jakimiś złymi ludźmi i to go do reszty zgubiło. Związał się z temi stowarzyszeniami. Jakie tam one mają cele, nie wiem, gdyż nigdy mnie te rzeczy nie zajmowały. Nasz rabin powiada, że one chcą przywrócić na ziemię panowanie Belzebuba, a rabinowi wierzyć należy. W każdym razie uchwały ich muszą być straszne, wedle tego co mój brat czasem wybąknął. Czem ściągnął na siebie nienawiść swych współtowarzyszy? Niewiadomo. To tylko pewna, iż zamordowano go za to, że w czemś przeciwko nim zawinił. Dowodził tego papier, którym był obwinięty sztylet, jaki mu zagłębiono w serce. Na papierze tym wypisano dużemi literami te wyrazy:

„Tak zginie każdy, kto zdradzi sprawę naszego stowarzyszenia“.

Głos Natana drzał gdy wymawiał te słowa i po chwili biedny człowiek wyszedł z pokoju.

Nastąpiło glucho milczenie.

Maurycy przerwał je pierwszy.

— Powiedz nam teraz pani, czy zbrodnia ta była ogłoszona publicznie?

— Naturalnie. Przybył sędzia i dopełnione zostały wszelkie formalności niezbędne w tym razie. Pisma głosiły o tem, ale czy to przypadkiem, czy dla tego, że członkowie tych stowarzyszeń zajmują nieraz wysokie stanowiska, dość że zabójca nie został wykryty.

— Ale z przeproszeniem pani baronowej, jakto się stało, że się ta głowa nie trzymała korpusu, gdy ją mój przyjaciel malował?

— Mój Boże — rzekła zakłopotana — to się stało wskutek natchnienia, jakie nam w jednej chwili przyszło. Głowa biednego Izaka była tak piękna, tak piękna, że przyszło nam na myśl, aby ją spożytkować w celach artystycznych, to jest, żeby służyła za wzór do głowy świętego Jana Chrzciciela, przyczem księżniczka mogła być córką Herodjady. Sprowadziliśmy księżniczkę z Florencji, aby pozowała do Beatrycy Cenci, na którąby się doskonale zdała ze swemi czarownemi oczyma, ale to nagle wydarzenie wpłynęło na zmianę naszych zamiarów. Wówczas ucieśliśmy głowę biednemu Izakowi.... Panowie wiedzą już resztę.

Spojrzelśmy oba po sobie, poczem zwróciliśmy wzrok na tę kobietę, która nam w tak prosty i naturalny sposób wyznała taką zbrodnię. Pozbawienie trupa głowy dla spożytkowania onej wydało mi się najwymowniejszym i najwięcej charakterystycznym rysem spekulacji niemiecko-żydowskiej, jaki sobie można wymarzyć. Czy operacji tej podjęły się tłuszciki i okryte pierścionkami rączki tej wytwornej damy, które widziałem teraz skrzyżowane na jej kolanach?... Nie mogło być nic więcej nieprawdopodobnego, a jednak prawdziwego, gdyż ona powiedziała mi.

Po chwili baronowa zmieniła całkiem i ton i postawę. Zaczęła obrabiać tę sprawę ze strony zabawnej.

— Pan zatem widziałeś swój obraz w galerji lorda B\*\*\*? — zapytała.

— Tak pani, i właściciel onego mówił mi, że baron Mordecai sprzedał mu go za 15.000 funtów szterlingów.

— O! ja nic nie wiedziałem. A jemu się zdaje, że co kupił?

— Murilla — odparłem z oburzeniem.

— Ah! — zawołała, śmiejąc się do rozpuku i udając, że nie zważa na moje oburzenie -- jakież ten margrabia naiwny! On się nie zna na malarstwie,

choć się uważa za znawcę. Jak tylko raz spojrzę na obraz mówi: „To jest Polemberg, to jest Ostade, Guido Reni, albo Murillo“, i najczęściej się myli. Skoro mu kto zaprzecza, unosi się gniewem. Czyż mu pan zaprzeczał?

— Naturalnie że nie. Rozczarowanie takie byłoby zbyt bolesnem.

— To dobrze. Onby panu tego nigdy nie darował. Miło mi, iż pan umiał dochować przysięgi. Wszak i myśmy także dotrzyмали przyrzeczenia, nieprawdaż?

— Muszę wyznać, że państwo okazali się względem mnie bardzo hojni.

— Myśmy tylko dopełnili naszego obowiązku. Zresztą baron ufał panu jak rodzonemu bratu. Mówił żeś pan jest prawdziwym gentlemanem; takie jest także i moje zdanie i ja bardzo pana lubię, niech mi pan wierzy.

To czułe wyznanie zdziwiło mnie niepomału. Ale więcej jeszcze zdziwiła mnie zmiana, jaka w ciągu rozmowy zaszła w naszych rolach. Zrazu czułem się panem położenia, a potem wyglądałem tak, jakobym to ja był jej obowiązany. Dowód to zręczności kobiecej, a owej baronowej w szczególności.

Widziałem, że Maurycy był bardzo zadowolony z takiego obrotu rzeczy.

— Bo też on na to prawdziwie zasługuje, pani baronowo — rzekł, odpowiadając na ostatnie słowa tej pani. — Teraz, gdy już ta święta głowa ścigać go nie będzie, pozostanie mu z dawnego pobytu u pani nader miłe wspomnienie. Co się zaś tyczy margrabiego i Murilla, jestem tego zdania, że nie trzeba się do nich wtrącać, skoro są tak z siebie zadowoleni.

Zapewnienie to rozradowało widocznie panią baronową, szczególnie gdy ja sam jeszcze potwierdził.

Ponieważ nie mieliśmy już powodu do przedłużania naszych odwiedzin, pożegnaliśmy panią Mordecai.

Wyszedłszy ztamtąd, przyszło nam na myśl, aby wstąpić do British-Muzeum, gdzie dzięki uprzejmości bibliotekarza, mogliśmy przejrzeć kolekcję Times'a.

Przerzucając numery z miesiąca marca 1823 r., znaleźliśmy czegośmy szukali. Zabójstwo żyda Izaka było tam opowiedziane z wszelkimi tajemniczemi szczegółami. Opinia publiczna bardzo się zajmowała tą dziwną sprawą, która dała powód do rozmaitych domysłów. Mówiono o ogromnym spisku, ułożonym przez sektę rewolucyjną. Na trzy lata przedtem w 1820, zdawało jej się, że dokazała wielkiej rzeczy, zglądając ze świata ostatnią latorośl pewnego szczepu, którego nienawidziła i którego się obawiała. Na szczęście ofiara z 13 lutego zostawiła potomka pozagrobowego. Otóż tego to znowu postanowili zabić. Izak wybrany do spełnienia tej zbrodni, nie miał odwagi jej dokonać i owa to odmowa stała się dlań wyrokiem śmierci,

Baronowa żyła jeszcze kilka lat po tych naszych odwiedzinach. Obdarzyła mnie prześliczną czarą srebrną w której znajdowała się niegdyś ta święta głowa...

Co zaś do tego obrazu, został on sprzedany po śmierci lorda B\*\*\* księciu D\*\*\*<sup>1)</sup> za bajeczną sumę. Znajduje się on teraz w Rosji, gdzie uchodzi za arcydzieło Murilla i gdzie coraz więcej budzi zachwyt ów

KONIEC.

<sup>1)</sup> Dymidow,















